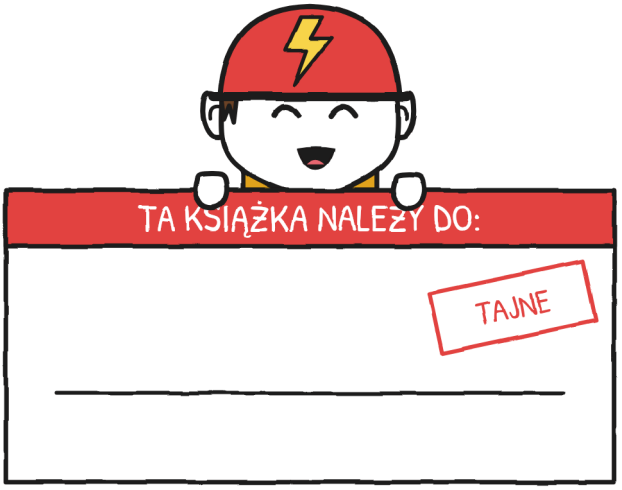


I ja czytam ją pierwsza. –J.

Jeśli go znajdziesz, oddaj go. Proszę.

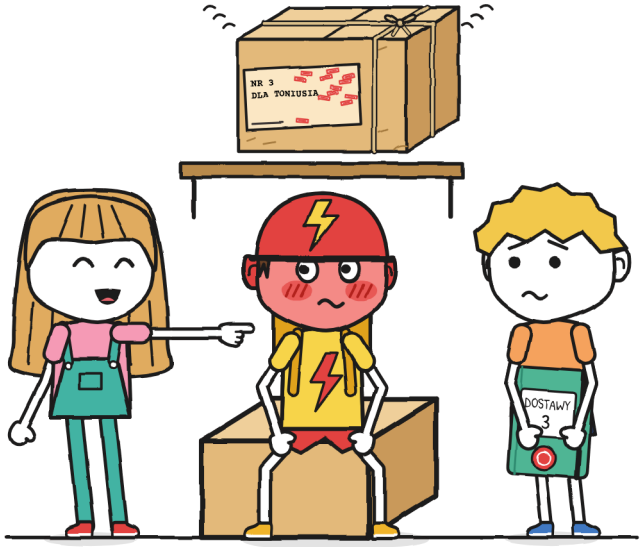


Ta pieczątka oznacza to, co zdarza się tylko w opowieści: prawdziwe paczki nie wracają lotem. Na prawdziwym rowerze obowiązuje ostatnia strona. –J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 3

Zwrot do nadawcy, proszę

LinguAula



(zeszyt Guniego)

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 3

Zwrot do nadawcy, proszę

Trzecia książka z serii. Poprzednie: „Ta paczka gryzie” i „Nie otwierać przed grzmotem”.

Tekst i ilustracje: LinguAula

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

Wydanie pierwsze: 2026

© 2026 LinguAula · info@linguaula.com

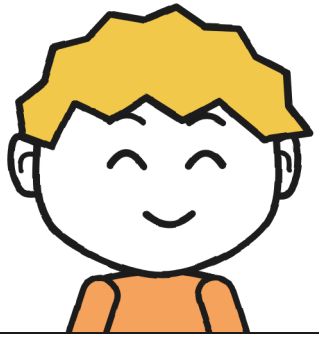
Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

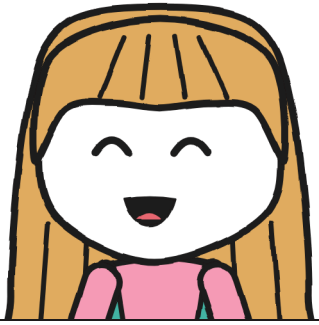
Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com

Żaden kurier nie ucierpiał podczas pisania tej książki.
Zaczerwienił się tylko jeden. —J.

KTO JEST KIM



Guni. Sobotni kurier. Rysuje rzeczy, o które nikt go nie prosił. Ten zeszyt jest jego.



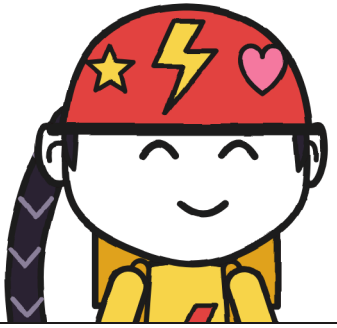
Julita. Pisze na zielono i podpisuje się J. Zawsze wie, jak pomóc. To właśnie jest problem.



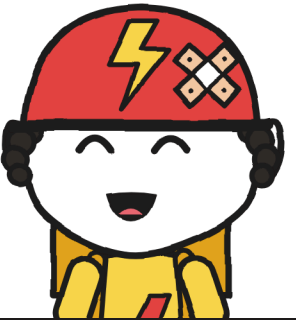
Tonio. Rozwozi dla BŁYSKAWICY, na rowerze. W dziesięć minut albo za darmo. Czerwieni się częściami.



Mara. Właścicielka Niemożliwych Dostaw. Nosi kapelusz czarownicy. Wie więcej, niż mówi.



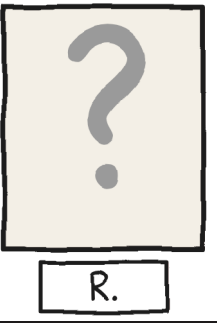
Zoe. Z BŁYSKAWICY. Najszybsza. Wymyśla przezwiska.



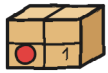
Bruno. Z BŁYSKAWICY. Raz złapał gumę. Dwa lata temu.



Paczka nr 3. Dzwoni, kiedy się ją rusza. Na etykiecie jest tylko jedno imię.



R. Wysyła paczki, których nikt nie umie doręczyć. Nikt nie mówi, jak R. się nazywa.



ROZDZIAŁ 1

Dzyń

Dzyń.

To był bardzo mały dźwięk, z tych, które słychać dopiero wtedy, gdy wszystko inne ucichnie: łyżeczka o filiżankę, dzwonek zabawkowego roweru. Dochodził z regału ze zwrotami, a nas czworo, którzy jeszcze zostali w sklepie Mary, zamarło tak, że słychać by było, jak spada iskra z pieczątki.

Burza ustąpiła już jakiś czas temu. Julita wciąż stała na moim niebieskim taborecie, z zielonym flamastrem w górze i świeżo wpisaną 18 obok skreślonej 19. Mara miała dłoń w pół drogi do rolety. Ja, który nie wiem, co zrobić z rękami nawet w najlepszych chwilach, nie zrobiłem z nimi nic.

To była paczka nr 3. A Tonio, który rozwozi dla BŁYSKAWICY w dziesięć minut albo za darmo, zrobił się koloru swojego kasku.

Zeszyt był nowy. Dwójka skończyła mi się w jedną burzę; ten jest zielony, ma w rogu pieczątkę sklepu i to ja miałem go zacząć, z ceremonią: tytuł na pierwszej stronie i jedno nowe słowo.

ZESZYT DOSTAW 3 · Guniego. TAJNE.

„Tajne" znaczy, że ja czytam pierwsza. I nikomu o tym nie mówię. —J.

Napisałem tytuł z wysuniętym językiem i poszedłem po gumkę, na wypadek gdyby wyszedł krzywo. Kiedy wróciłem, Julita już go zaczęła.

— Zaczęłam go, żeby ci pomóc — powiedziała. — Nie ma za co.

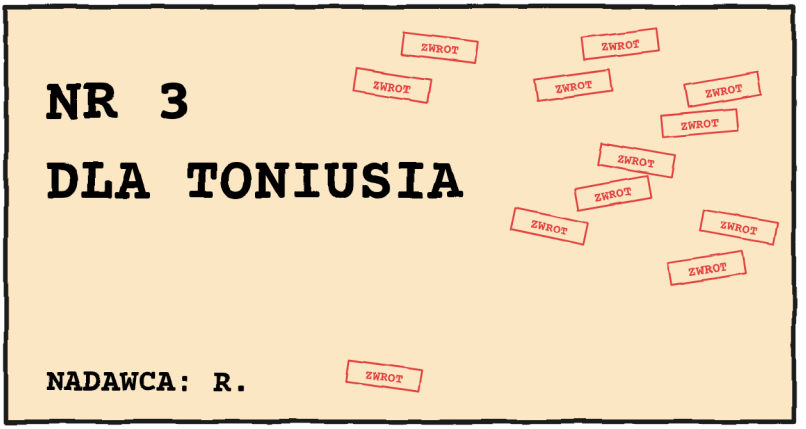
Nie prosiłem jej o pomoc. Z Julitą to bez znaczenia.

Reszta jest na wypadek, gdyby kiedyś czytał to ktoś inny niż ona. Sklep nazywa się Niemożliwe Dostawy i należy do Mary, która jest czarownicą, nosi fioletowy kapelusz i ma pieczątkę, która przy każdym uderzeniu sypie iskrami pachnącymi zgaszoną świecą. Na regale po lewej trzyma zwroty: paczki, których nikomu nie udało się doręczyć. Mają jedną jedyną zasadę: jeśli odbiorca nie podpisze etykiety tuszem, którego nie da się zmazać, o świcie paczka wraca lotem na swoją półkę, punktualnie jak kot w porze kolacji. Było ich dwadzieścia i wszystkie wysyła zawsze ta sama osoba, R., o której miałem już sześć wskazówek w niebieskim zeszycie. Z Julitą doręczyliśmy dwie, smocze jajko i nasionka na nóżkach, które biegały, a na ścianie jest napisane jej ręką, na zielono, ZOSTAŁO 18.

Julita to ta od zielonych notatek. Ja jestem Guni, nowy w dzielnicy: prawie wszystko moje wciąż siedzi w pudłach. A Tonio to kurier BŁYSKAWICY, ten z żółtym plecakiem, który odrabia u nas karę w soboty i który od burzy ma w sklepie własne miejsce:

skrzynkę do rozwożenia, postawioną do góry dnem obok taboretów. Mara mu ją tam postawiła bez tłumaczenia. „Na razie” — powiedziała. Nikt nie odważył się zapytać, jak długo trwa „na razie”.

Paczka nr 3 stała na górnej półce, obok dwóch wolnych miejsc po jajku i nasionkach, etykietą do przodu. Podszedłem ją przeczytać, stojąc i niczego nie dotykając.



Trzy linijki maszynowym pismem: NR 3. DLA TONIUSIA. A na samym dole: NADAWCA: R. Między imieniem a ostatnią linijką zostawało całe pole pustego papieru. Dookoła dwanaście pieczątek ZWROT. Policzyłem je.

Julita zeskoczyła z taboretu i stanęła obok mnie. Przeczytała na głos:

— Dla To...

I zamknęła usta.

Julita nigdy nie milknie w połowie słowa. Spojrzałem na Tonia i zrozumiałem czemu.

Przeczytałam połowę. Drugą połowę połknęłam. –J.

Są ludzie, którzy czerwienieją nagle, od razu. Tonio nie: Tonio czerwienieje częściami. Zaczął od uszu. Potem policzki. Potem zalała mu się cała twarz, aż po pasek kasku, a został jeszcze ostatni stopień, najgorszy, kiedy twarz i kask przestają się od siebie odróżniać. Od czasu drżymierza paczki nr 2 nie umiem patrzeć na nic, co się zmienia, nie dorabiając do tego skali, więc ją zapisałem.



Julita wyciągnęła rękę do paczki, żeby doczytać, czego jej brakowało.

— Ta paczka może poczekać — powiedział Tonio, bardzo szybko. — Czeka od lat, prawda? To poczeka jeszcze dzień. Albo dziesięć. BŁYSKAWICA się nie spieszy.

Pierwszy raz słyszałem, żeby BŁYSKAWICA coś takiego powiedziała.

— Tej nocy nic się nie otwiera — powiedziała Mara. — A regału nie rusza się bez pozwolenia.

Dłoń Julity została w powietrzu, o palec od etykiety. Nikt niczego nie dotknął. A potem zadzwoniło jeszcze raz.

Dzyń.

— To były drzwi! — powiedziała Julita głosem, którego u niej nie znałem: zbyt wysokim i zbyt szybkim.

Drzwi były zamknięte, odkąd poszła Wera.

Kiedy czegoś nie rozumiem, robię listę. Podejrzani o dzyń:

1. Drzwi. (Propozycja Julity. Zamknięte, bez przeciągu i bez nikogo, kto by je popchnął.)
2. Rower Tonia, na chodniku, z dzwonkiem BŁYSKAWICY. (Robi BRRRYŃ, nie dzyń. Ale to jednak dzwonek.)
3. Gumowa żaba. (Julita od razu ogłosiła ją niewinną. Mówi, że ją zna.)
4. Paczka nr 3.

Paczkę nr 3 wpisałem na końcu, z grzeczności.

Wyszedłem na chodnik to sprawdzić. Po drodze zabrałem żabę, bo podejrzanego nie przesłuchuje się na odległość.

Już nie padało. Ulica pachniała mokrym asfaltem i w każdej kałuży siedziała latarnia. Otworzyłem i zamknąłem drzwi: skrzyyyp. Zadzwoniłem dzwonkiem roweru Tonia: BRRRYŃ! Ścisnąłem żabę: kwik.

Po drugiej stronie szyby Julita kręciła palcem: nie. Przy każdym dźwięku to samo, z boku na bok, jak wycieraczka w samochodzie. Żaden z nich.

Wróciłem do środka i położyłem żabę na ladzie. Tonio, który widział, że mu się przyglądam, poruszył się w swojej skrzynce.

Dzyń.

Schyliłem się. Skrzynka Tonia stała oparta o nogę regału.

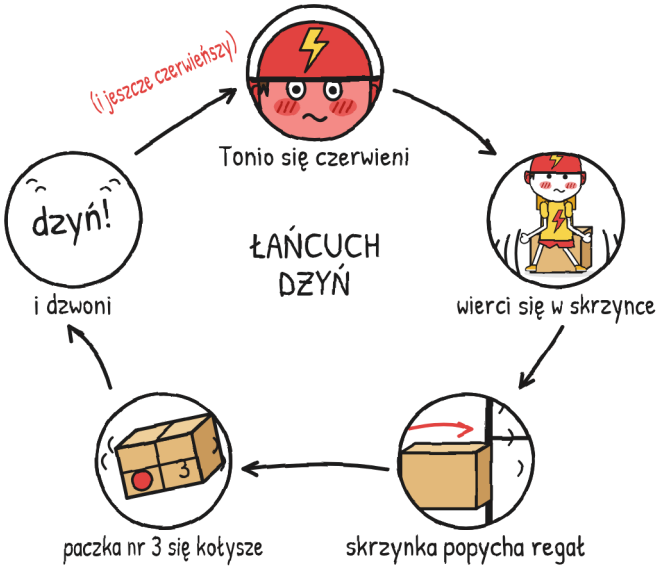
Narysowałem to tam, na kolanach, i wyszło mi koło, bo choćbym go obracał, nie mogłem znaleźć, gdzie się zaczyna.

To nie była magia. To był Tonio. W środku paczki nr 3 jest coś, co dzwoni, kiedy się ją rusza.

Jak ja. –J.

Tonio podążył wzrokiem za moim spojrzeniem do nogi regału, popatrzył na swoją skrzynkę i postanowił siedzieć spokojnie.

Wytrzymał tyle, ile rozciągnięta gumka.



Spokojnie. Potem jeszcze spokojniej: tak spokojnie, że było słychać, jak myśli „spokojnie", a po skroni spływała mu kropla. Julita od dobrej minuty się nie odzywała, a dla niej to jak wstrzymywanie oddechu pod wodą i prędzej czy później wypływa się na powierzchnię z tym, co ma się najbliżej ust.

— Kto to jest Toniuś?

Tonio podskoczył. Skrzynka szturchnęła nogę, regał zadrżał, a paczka nr 3 powiedziała DZYŃ! z siłą, na jaką żadne dzyń nie zasługuje. Mara spojrzała w sufit, jak ktoś, kto liczy do trzech.

— To było tylko pytanie — powiedziała Julita. — Pytania nie popychają regałów.

Ta tak.

— To byłem ja — powiedział Tonio, patrząc na swoje buty. — Jak byłem mały.

Powiedział to tak cicho, że żaba, która leżała na ladzie bliżej niego niż ja, usłyszała lepiej.

Julita otworzyła usta. Widziałem, jak jej pytania ustawiają się w kolejce, jak w piekarni w niedzielę rano, pierwsze już z pieniędzmi w ręku. Potem spojrzała na Tonia, który wciąż patrzył na swoje buty, i je zamknęła.

— Nie pytam więcej — powiedziała.

Kosztowało ją to. Było to widać po jej stopie: tup, tup, tup o podłogę sklepu.

Pytań, których nie zadałam: dziewięć. Mam je zapisane. —J.

— A czemu nigdy mu jej nie zaniosłaś? — zapytałem Marę.

— Dwanaście razy ją zanosiłam. — Nikt nie musiał liczyć pieczątek. — Spójrz na etykietę: ani ulicy, ani numeru domu, ani nazwiska. Próbowałam ze wszystkimi Toniusiami, jakich znalazłam.

Wyliczała ich z pamięci, na palcach, a ja rysowałem ich w miarę, jak słyszałem. Kanarek, który naprawdę miał na imię Toniuś i który stanął na etykiecie: nie liczy się. Pan Antoni, lat 71, który włożył okulary, przeczytał kartkę dwa razy i powiedział „Chciałbym", patrząc na nią tak, jak patrzy się na

wystawę sklepową. Łódka z kanału z imieniem wymalowanym na burcie, która też nie podpisała, bo nie ma rąk.

TONIUSIE MARY



1. Kanarek.
(Stanął na etykiecie. Nie liczy się.)

2. Pan Antoni, 71 lat.
(„Chciałbym".)

3. Łódka z kanału.
(Nie ma rąk.)

— A Tonio? — zapytała Julita.

— Ostatnim razem, kiedy próbowałam, jeszcze go nie znałam — powiedziała Mara i na niego spojrzała. — A nikt mi nie powiedział, jak go nazywano, gdy był mały.

Mara wyjęła spod lady fioletową płachtę i przykryła nią paczkę nr 3, jak się przykrywa klatkę papugi, żeby zasnęła. Potem poprosiła Tonia, żeby na chwilę wstał, i odsunęła jego skrzynkę o dwie piędzi od regału.

— O tak. Teraz możesz się wiercić, ile chcesz.

Tonio mógł pójść. Rower miał przy drzwiach: w dziesięć minut byłby na drugim końcu dzielnicy. Usiadł z powrotem.

Nie wiem czemu. Zapisuję to i tak.

A ponieważ jego skrzynka nie ma oparcia, narysowałem mu je: wysokie, trochę wygięte, z małą poduszką, ołówkiem i linią kropkowaną, a pod spodem drobnym pismem: „oparcie (mój pomysł)”.

Nikt cię nie prosił o oparcie. –J.



Przy zamykaniu Tonio został ostatni, zapinając kask z powolnością, która w BŁYSKAWICY byłaby poważnym przewinieniem. Mara gasiła światła jedno po drugim; fioletowa płachta wciąż leżała na paczce, na górnej półce.

— Maro. Jutro przyjdę o tym porozmawiać. Ale prywatnie.

— Ci dwoje są ze sklepu — powiedziała Mara, nie odwracając się.

Tonio na nas spojrzał. Najpierw na Julitę, potem na mnie. Wyprostowałem się na taborecie.

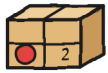
— Ci, dobrze — powiedział. — Ale nikt z BŁYSKAWICY.

Wyszedł i oddalił się między kałużami, prowadząc rower.

Dzyń miało już właściciela. Zostawało sprawdzić, czy właściciel go chce.

Ja już wiem, jak mu pomóc. –J.

Tego się właśnie boję.



ROZDZIAŁ 2

Nie powiedziałem, że tak

W niedziele sklep jest zamknięty. Tamtej niedzieli Mara zostawiła roletę do połowy podniesioną, akurat tak, żeby dało się przejść w przykucu, i powiesiła na niej odręczną tabliczkę:

ZAMKNIĘTE (oprócz ciebie).

Tonio przyszedł o jedenastej. Zanim wszedł, spojrzał na jedną stronę ulicy i na drugą, jak się robi przed przejściem. Nikogo z BŁYSKAWICY nie było. Pochylił się pod roletą, z plecakiem przyciśniętym do piersi, żeby się nie zahaczył, i sklep połknął go bez najmniejszego szmeru.

My przyszliśmy o wpół do jedenastej. Na wszelki wypadek. –J.

Przeczytałem tabliczkę dwa razy. Nigdzie nie było napisane „i Julita", ani „i Guni". Ale Mara otworzyła nam bez słowa, z uniesioną lewą brwią, i wpuściła nas.

Usiedliśmy na taboretach z miną kogoś, kto na nic nie czeka. Ta mina wychodzi mi gorzej niż komukolwiek.

Mara postawiła paczkę nr 3 na ladzie i zdjęła z niej płachtę.

— Paczka numer trzy. Dla Toniusia. To ty?

— Byłem.

— Wystarczy. Chcesz ją?

Tonio spojrzał na pudełko. Pudełko nic nie powiedziało.

— Nie powiedziałem, że tak.

— Ale nie powiedziałeś też, że nie.

— Powiedziałem, że nie powiedziałem, że tak.

Ja mówiłem „tak" wiele razy, byle mnie zostawiono. Tonio siedział tam i ani razu go nie powiedział. Złapałem się brzegu taboretu.

— Trzy zdania — szepnęła Julita. — I żadne nie jest „tak". Policzyłam.

Mara nie nalegała.

Tonio chwycił pudełko tak, jak się chwyta rondel, który parzy: oburącz i z ochotą, żeby go puścić. Zważył je. Obrócił. Przyłożył do ucha i lekko nim ruszył.

Dzyń.

Szybko je puścił i został, patrząc na swoje dłonie.

— A jakby zabrał ją do domu? — powiedziała Julita. — Jeśli paczka śpi w domu odbiorcy, jest już doręczona. To logiczne.

— Pieczątka zwrotu nie działa logicznie — powiedziała Mara. — Działa tuszem.

— Pieczątka i ja myślimy inaczej — mruknęła Julita, co jest najbliższe poddaniu się, jakie u niej słyszałem.

Żeby było jasne, zrobiłem tabelkę. Nazywa się CZY TO SIĘ LICZY JAKO DORĘCZENIE?

- Patrzeć na nią: nie.
- Chwycić ją: nie.
- Zabrać do domu: nie.
- Podpisać etykietę tuszem, którego nie da się zmazać: tak.

— Ta dostawa jest wasza — powiedziała nam Mara, Julicie i mnie — jak ta z grzmotem. Pod trzema warunkami.

Policzyła je na palcach.

1. Wy nie otwieracie pudełka. A etykieta zostaje przyklejona.
2. Paczka nr 3 wychodzi ze sklepu tylko wtedy, gdy poprosi o to Tonio.
3. Podpisuje odbiorca, jeśli chce. Bez podpisu paczka o świcie wraca, a tu nic się nie stało.

Julita podniosła rękę, jak w klasie.

— A jeśli nie zechce nigdy?

— To nigdy.

„Nigdy" to nie termin dostawy. –J.

Tonio milczał długo. Julita zmierzyła czas: cztery minuty. Jak na BŁYSKAWICĘ, prawie pół dostawy. W tych czterech minutach patrzył na paczkę, patrzył na drzwi i patrzył na swoje ręce. Na nas nie patrzył i byłem mu za to wdzięczny.

— Zabieram ją — powiedział w końcu. — Zamkniętą. Żeby pomyśleć. Na razie.

— To ty o to prosisz? — zapytała Mara.

— Ja proszę.

Zrobiłem kartę wydania, żeby nikt nie mógł powiedzieć inaczej:

- Pudełko: zamknięte. Tak.
- Etykieta: przyklejona. Tak.
- Prosi: Tonio. Tak.
- Podpis: jeszcze nie.

Na dworze było to niedzielne słońce po burzy, po którym wszystko wygląda na świeżo umyte. Tonio włożył paczkę nr 3 do koszyka roweru i gdy ją puścił, zadzwoniła: dzyń.

Stał, patrząc na kierownicę, gdzie ma dzwonek BŁYSKAWICY, szary i okrągły.

— Co? — zapytała Julita.

— Nic.

I poszedł pieszo, prowadząc rower. Tonio prawie nigdy nie chodzi pieszo.

To „nic" było „coś". Trzeba mu pomóc. –J.

Od drzwi zobaczyłem dwa rowery BŁYSKAWICY, stojące na rogu, z żółtymi plecakami: dziewczyna z warkoczem do pasa i obok niej ktoś bardzo duży.

— Tonio! Co masz w koszyku? — zawołała ta z warkoczem.

— Dostawę.

— Dla kogo?

— Dla klienta.

Nie skłamał. Ale zanim odpowiedział, obrócił powoli pudełko w koszyku, tak, żeby etykieta była zwrócona do niego.



Zrozumiałem to „nikt z BŁYSKAWICY".

Tej nocy zostawiłem roletę w moim pokoju podniesioną. Mieszkam naprzeciwko sklepu: jeśli paczka nr 3 będzie wracać, ja

ją zobaczę. Ustawiłem przed oknem dwa krzesła, jedno dla siebie, a drugie, maleńkie, dla budzika. Okienko nad drzwiami sklepu, to, które Mara zostawia otwarte właśnie na to (pierwszego dnia wziąłem je za skrzynkę na listy), było czarnym, nieruchomym prostokątem.

— Guni? — zawołała mama z korytarza. — Czemu nie śpisz?

— Pilnuję paczki.

— A. No dobrze. Ale pilnuj jej w piżamie.

Przez pierwsze dwadzieścia minut patrzyłem na okienko, przez następne na budzik, a przez resztę nocy na zeszyt, bo kiedy czekam, potrzebuję czegoś do roboty dla rąk. Więc na parapecie, w świetle latarni, ulepszyłem siedzisko Tonia. Wersją 1 było sobotnie oparcie; wersja 2 ma podłokietniki i okrągłe miejsce na szklankę. Narysowałem też szklankę, razem z serwetką.

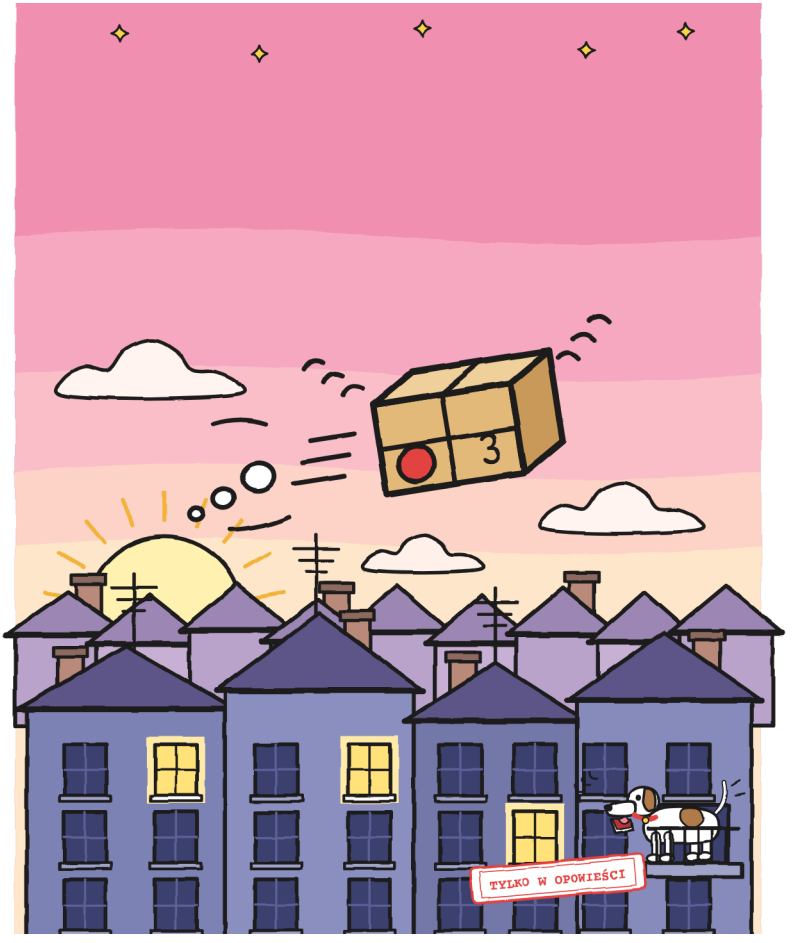
Julita też chciała pilnować, ale jej okno wychodzi na podwórko, a z podwórka da się pilnować tylko rozwieszonego prania.

O świcie było to słychać, zanim było widać.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Nadlatywało nad dachami, bez pośpiechu, brzmiąc jak wózek z lodami, który jeszcze nie wybrał rogu. Zapaliło się jedno okno, potem drugie, potem trzecie, jakby ktoś sprawdzał listę obecności. Zaszczekał pies spod czwórki, który szczeka na

wszystko, co lata, czy to paczka, czy gołąb. I wtedy to zobaczyłem: mały, kwadratowy kształt na tle różowego nieba, który przeleciał moją ulicą na wysokości mojego okna, wsunął się przez okienko nad drzwiami, a już w środku usłyszałem, jak ląduje na swojej półce, z ostatnim dzyń, krótszym, jak wtedy, gdy ktoś kładzie klucze na stół.



— To było to? — zapytała mama z korytarza głosem kogoś, kto nie do końca zasnął.

— To było to.

— No to teraz śniadanie.

Postałem jeszcze chwilę przy oknie. Kiedy mama zawołała mnie jeszcze raz, poszedłem na śniadanie.



Po szkole poszliśmy do sklepu. Paczka nr 3 stała na swojej półce. Miała o jedną pieczątkę więcej, czerwoną, z jeszcze świeżym tuszem, której nikt nie przybił: trzynaście.

Powiedziałem, że żal mi patrzeć, jak znowu stoi na półce.

— To nie kara — powiedziała Mara. — To reguła. Nikt nie podpisał: wraca.

Trzynaście pieczątek. W tym tempie pudełka nie będzie widać. —J.

Tonio przyszedł o piątej dwadzieścia, po swojej dostawie. Nie zapytał, czy wróciła: słyszał, jak przelatywała nad jego domem. Usiadł w swojej skrzynce, która wciąż stała dwie piędzi od regału, i patrzył na paczkę, nie patrząc, tak, jak się patrzy na kogoś, o kim wiesz, że patrzy na ciebie.

Tego nie widziałem. Opowiedział mi to on:

CO MI OPOWIEDZIAŁ TONIO



— Zostawiłem ją na wycieraczce. Całą noc.

— A czemu nie wziąłeś jej do domu? — zapytała Julita.

— W domu jest już dość osób, które mnie tak nazywają.

Powiedział to bez złości, tym płaskim głosem, jakim podaje adresy. Julita nie zapytała, ile to jest „dość". Stopa tylko raz jej zrobiła tup.



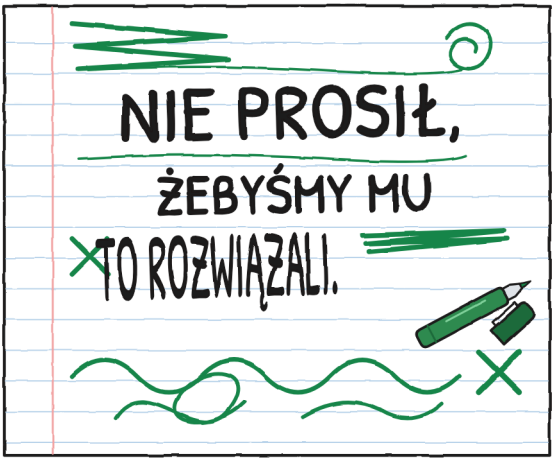
— Jeden podpis i wszystko by się ułożyło — powiedziała Julita, kiedy Tonio wyszedł. — Jeden. Zajmuje dwie sekundy. Zmierzyłam na moim.

To prawda. Zrobiła to trzy razy na luźnej kartce, swoim zwykłym J: dwie sekundy, dwie sekundy i, kiedy wyszło krzywo, dwie i pół.

Otworzyłem zeszyt i napisałem długopisem, mocno, żeby zieleń tego nie zakryła:

NIE PROSIŁ, ŻEBYŚMY MU TO ROZWIĄZALI.

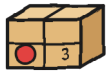
Nacisnąłem tak mocno, że zdanie przebiło się też na następną kartkę, wypukłe. Julita wyjęła zielony flamaster. Próbowała kreskami, spiralami, krzyżykiem, chmurą fal. Zielony się nie zmazuje, ale to zdanie nie dało się nim zakryć: leżało pod spodem, całe, wielkimi literami, wgniecione w papier.



Przeczytałam. Nie zgadzam się. Na razie. –J.

Spojrzałem na nią.

Mam inny pomysł. Nie patrz tak na mnie. –J.



ROZDZIAŁ 3

Autografy

We wtorek, po wyjściu ze szkoły, na chodniku przed sklepem stał stół. Stoły nie wychodzą same na ulicę, a ten w dodatku był ubrany: żółty obrus do ziemi, plakat napisany pismem Julity, a pośrodku zakryte wybrzuszenie, kwadratowe i bardzo nieruchome, z tych, które wyglądają, jakby czekały, aż ktoś zada im pytanie.

Plakat głosił zielonymi literami PODPISY KURIERÓW. Pod spodem: DZISIAJ. A pod tym, mniejszym drukiem: Najszybsi w dzielnicy.

Za stołem stała Julita, wyprostowana, z rękami za plecami i poważną miną kogoś, kto sprzedaje bilety. Za wystawą Mara rozmawiała przez telefon. A raczej słuchała: kiwała głową, patrząc w sufit, co robi zawsze, gdy rozmowa się przeciąga.

Wskazałem brodą wybrzuszenie.

— To pulpit — powiedziała Julita, zanim zdążyłem cokolwiek zapytać. — Żeby wygodniej się podpisywać. Zbieram autografy.

Pulpit, o ile wiem, służy do tego, żeby oprzeć nuty, kiedy się gra na skrzypcach. Do podpisywania nie. Ale powiedziała to z takim przekonaniem, że przez dziesięć sekund wątpiłem w to, co wiem o skrzypcach.

— Od kiedy zbierasz autografy?

— Od wczoraj.

Wczoraj powiedziała, że ma inny pomysł. Ten pomysł miał obrus.

Na pulpicie leżał arkusz w linie, a na samym dole ramka. A przynajmniej tak to wyglądało: było to okienko wycięte nożyczkami. Obrus miał takie samo, dokładnie pod spodem. Schyliłem się.

Uniosłem róg. Pulpit był paczką nr 3, położoną płasko, z etykietą do góry: DLA TONIUSIA, trzynaście pieczątek ZWROT i dokładnie pod dziurą w obrusie kawałek białego papieru, równo na wielkość podpisu.

Zrozumiałem to w pełni dopiero, kiedy to narysowałem, bo tak właśnie rozumiem rzeczy.

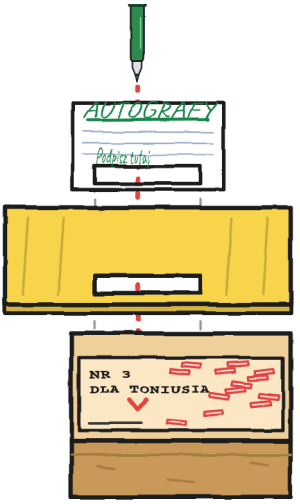
— Moim flamastrem — szepnęła Julita zachwycona. — Tusz, którego nie da się zmazać. Jutro już nie wróci, a on się nie dowie, dopóki mu nie pokażemy. Niespodzianka!

Miała minę kogoś, kto daje prezent i wybrał go wyjątkowo dobrze. Opuszki palców miała nawet zielone od tego flamastra.

JAK TO DZIAŁA

1. Arkusz z okienkiem.

2. Obrus z dziurą.



3. Etykieta paczki nr 3, w miejscu, które jest białe.

4. Kto się podpisze w okienku… podpisuje etykietę.

Przypomniałem sobie warunki Mary. Drugi znałem na pamięć.

— Tonio nie prosił, żeby paczka wychodziła ze sklepu — powiedziałem. — Warunek drugi.

— Będzie wdzięczny.

— A Mara?

— Rozmawiała przez telefon. Powiedziałam jej, że to stół z autografami. I jest.

— A pulpit?

— O to mnie nie zapytała.

Przypomniałem jej o Florze i ósmym nasionku: Julita nie pozwoliła Florze podpisać przed czasem.

— To nie to samo. To było doręczenie w połowie. To jest skrót.

— To zrób to ty — powiedziałem. — Ja nie.

Usiadłem na schodku przed sklepem, tyłem do stołu, ze skrzyżowanymi ramionami.

Usiadł na schodku. Bardzo godnie. Ani trochę nie pomógł. —J.



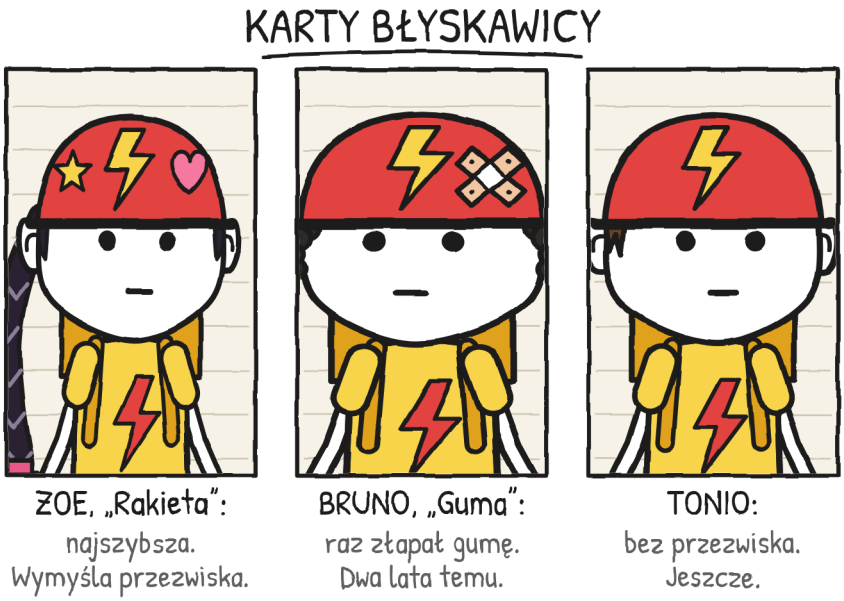
BŁYSKAWICA przejeżdża naszą ulicą o piątej dziesięć. Słychać ich, zanim się ich zobaczy, tak to jest z dzwonkami. Było ich troje, jedno za drugim: Zoe z przodu, gdzie zawsze jedzie; Bruno, ogromny, pedałujący jak ktoś, kto wiezie szafę; i Tonio na końcu, trochę z boku, jakby w szeregu były trzy rowery, a jego nie należał do tego samego.

Potem narysowałem ich takimi, jakimi przyjechali, jedno po drugim.

Zoe, „Rakieta", to ta z warkoczem do pasa, ta, która w niedzielę pytała, co Tonio wiezie w koszyku. Jest najszybsza i to ona wymyśla przezwiska. Bruno ma łatkę na kole i pompkę przyczepioną do ramy, na wszelki wypadek.

Zoe zobaczyła plakat i zahamowała.

— Autografy? Nasze? — powiedziała i zeszła z roweru.



Nikt nigdy nie poprosił ich o autograf. Dlatego to działa. –J.

Zoe podpisała się pierwsza, z gwiazdką w „o”. Bruno napisał „Bruno”, powoli, z językiem między zębami, każdą literę równiutko okrągłą. Zoe wyjęła mu długopis, przekreśliła to jedną kreską i obok wpisała „Guma”.

— W BŁYSKAWICY przezwisk się nie zdejmuje — wyjaśnił mi Bruno, wcale się nie złoszcząc. — Złapałem gumę raz.

Dwa lata temu. Całkiem sporo gumy jak na jedną przebitą dętkę.

Tonio nie zszedł z roweru. Patrzył na stół tak, jak w niedzielę patrzył na paczkę nr 3: z daleka, z obiema rękami na kierownicy.

— Twoja kolej, Tonio — powiedziała Julita. — Tutaj na dole, w ramce. To honorowe miejsce.

I podała mu swój zielony flamaster.

Nikt nigdy nie poprosił Tonia o autograf. Zszedł z roweru i się wyprostował.

Ja odwróciłem głowę. Patrzyłem na to wszystko ze schodka, z ustami pełnymi „to nie moja sprawa".

Wstałem. Nawet tego nie postanowiłem: zrobiło to moje ciało, jak czkawka, bez pytania mnie o zdanie.

— Tonio, zacze...

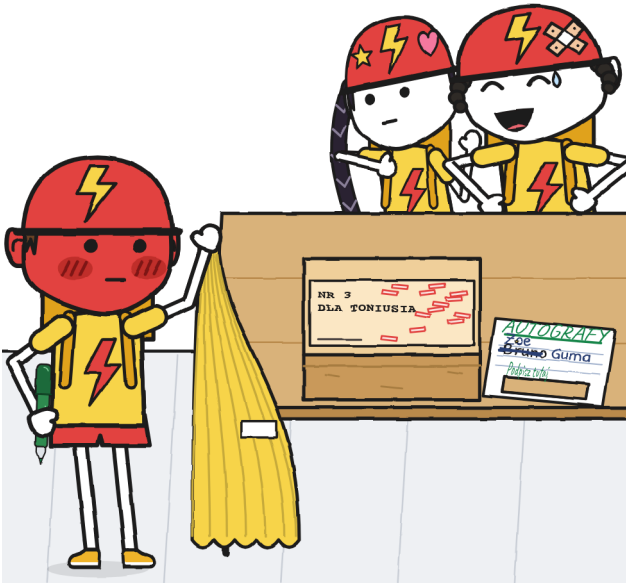
Spóźniłem się. Tonio szarpnięciem przysunął pulpit, żeby się podpisać, a spod obrusa coś się odezwało, zanim ja zdążyłem:

DZYŃ!

Przez sekundę wszystko znieruchomiało: arkusz, ręka Tonia z flamastrem o palec od okienka, cztery twarze nad wybrzuszeniem. Ja jeszcze nie dotarłem do stołu.

Tonio podniósł obrus dwoma palcami, za róg.


AUTOGRAFY
Zoe
~~Bruno~~ Guma
DŻYŃ!



— „Dla To-niu-sia” — przeczytała Zoe, powoli, jakby czytała nagrodę.

— Toniusia? — powiedział Bruno i się roześmiał.

Zoe się nie roześmiała. Zoe myślała.

Julita spuściła wzrok na okienko.

Tonio nie krzyknął. Nałożył flamastrowi skuwkę, powoli, aż usłyszał kliknięcie, i położył go na arkuszu. Bez podpisu.

— BŁYSKAWICA nie podpisuje pułapek.

Potem chwycił rower za kierownicę i poszedł pieszo, z tym tykaniem zegara, jakie wydaje rower, kiedy nikt nie pedałuje. Nikt nie poszedł za nim. Ja też nie.

Miał kolor kasku, aż po kark. Ale to nie była czerwień wstydu. To była inna.

Czerwieniomierz nie ma numeru na taką. –J.

Mara wyszła z fioletową płachtą. Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała przez ramię na lukę na półce, spojrzała na stół i spojrzała na Julitę. Nie zapytała, kto to zrobił.

Przykryła paczkę nr 3 i wzięła ją na ręce.

— Ta paczka nie jest doręczona — powiedziała Zoe i Brunowi. — A to, co jest na etykiecie, to sprawa Tonia.

Bruno przestał się uśmiechać. Zoe raz obejrzała się na zakryty fioletem kształt. Wsiedli na rowery i odjechali, ani razu nie dzwoniąc. O ile pamiętam, to był pierwszy raz.



Pomogłem Julicie posprzątać: obrus, plakat, arkusz z dwoma podpisami i dziurą. Flamaster schowała ona, nie odkręcając go. Nie powiedziałem jej „mówiłem”. Nie powiedziałem też „nic się nie stało”, bo się stało.

Złożyliśmy obrus we dwoje, każde za swój koniec. Powoli zbliżyliśmy rogi. Dziura została pośrodku.

— Ty nic nie zrobiłeś — powiedziała.

Powiedziała to, żeby mnie z tego wyłączyć. To był prezent i przez całe jedno złożenie prawie go przyjąłem: niczego nie wycinałem i niczego nie zdejmowałem z żadnej półki.

Wygładziłem zmarszczkę, której nie było. Wyrównałem swój koniec z jej końcem. Policzyłem płytki chodnika od schodka do miejsca, gdzie stał stół.

Nie było ich nawet dwunastu. Miałem je przed oczami całe popołudnie.

— Ostrzegłem za późno — powiedziałem, patrząc na obrus. — Mogłem powiedzieć wcześniej. Albo zadzwonić do Mary.

Julita nie odpowiedziała. Zabrała mi obrus, złożyła go jeszcze raz więcej, niż trzeba, i mi go oddała.

Potem weszła i opowiedziała wszystko Marze, sama, niczego nie pomijając. Ja zostałem w drzwiach, z obrusem w ramionach. Stamtąd było słychać wszystko: okienko, obrus, półkę, telefon. Mara wysłuchała jej do końca.

— A Toniowi — powiedziała Mara, kiedy skończyła — powiesz ty.



W środę Tonio przejechał o piątej dziesięć i nie zahamował. Przejechał szybko, patrząc przed siebie, z tą prędkością, która jest innym sposobem bycia nieobecnym. O piątej dwadzieścia przejechał znowu: usłyszałem, jak nadjeżdża, usłyszałem, jak nie hamuje, usłyszałem, jak odjeżdża. Dla kogoś, kto rozwozi w dziesięć minut albo za darmo, przejechać trzy razy tą samą ulicą i się na niej nie zatrzymać to bardzo dziwny sposób, żeby nie wejść do sklepu. Trochę przypominało to pukanie do drzwi.

Siedziałem na tym samym schodku.

Za trzecim razem Julita stała na środku chodnika z kartką. Dwa razy puściła Tonia.

Trzymała kartkę oburącz, na wysokości twarzy, jak tablice na lotniskach, a Tonio przeczytał ją z roweru, z jedną nogą na ziemi, nie dotykając jej. Trzy zdania i jedno słowo: „Wzięłam twoją paczkę", „Chciałam cię oszukać", „Pokazałam twoją etykietę innym". A pod spodem, samo i większe, „Przepraszam". Znam to co do słowa, bo potem przepisała to do mojego zeszytu. Nie było w tym ani jednego „ale", ani „niechcący", ani „żeby pomóc". Sprawdziłem dwa razy, szukając.

Podpisała się „—Julita". Julita wszystko podpisuje samym J. Tym razem dopisała wszystkie litery.

— Dobrze. Przeczytałem — powiedział Tonio.

— Wybaczysz mi?

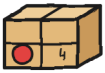
Tego nie było na kartce. Julita zacisnęła palce na brzegu arkusza.

— Powiedziałem, że przeczytałem.

Tonio oparł stopę na pedale i odjechał. Tym razem na pedałach, bez pośpiechu i bez hamowania. Julita została, patrząc na ulicę, a potem schowała kartkę do kieszeni ogrodniczek, nie składając jej.

Tego popołudnia, w sklepie, skrzynka Tonia została pusta.

Podpisałam się całym imieniem. To było minimum. –J.



ROZDZIAŁ 4

Mały rower

W czwartek Tonio wszedł do sklepu, nie rozglądając się po ulicy.

W niedzielę, zanim wszedł, spojrzał na jedną stronę i na drugą, jak się robi przed przejściem, kiedy nie ufasz samochodom. Tym razem wszedł prosto, w kasku. Nie było już nikogo z BŁYSKAWICY, przed kim musiałby się chować: ci dwoje, którzy mieli się dowiedzieć, dowiedzieli się we wtorek, z obrusem włącznie.

Nie spodziewaliśmy się go. Od wtorku z Julitą rozmawialiśmy mało i ostrożnie, jak dwoje ludzi, którzy niosą razem tacę ze szklankami. Julita przestała robić plany na głos i to właśnie było najbardziej widać: jak wtedy, gdy wyłącza się lodówka i dopiero wtedy orientujesz się, że brzęczała.

Niósł rower pod pachą.

Jego prawdziwy rower został na zewnątrz, oparty o ścianę. Ten był czerwony i tak mały, że niósł go jak bochenek chleba, a na kierownicy miał kłaczki z komórki.

To nie był jego rower. A raczej był: ten sprzed lat.

Minął swoją skrzynkę, nie siadając. Stała tam, gdzie zostawiła ją Mara w sobotę: do góry dnem, obok taboretów, pusta. Julita zaczęła wstawać z taboretu i usiadła z powrotem. Zrobiła to dwa razy.

— Od niedzieli mam dzyń w głowie — powiedział Tonio, mówiąc do Mary i do nikogo więcej. — Chyba wiem, skąd. Chcę sprawdzić, czy dobrze pamiętam. Chcę ją otworzyć. Ale nie tutaj. Tam, gdzie nie ma witryny.

Mara nie zapytała dlaczego. Zdjęła paczkę nr 3 z półki i zaprowadziła nas na zaplecze.

Na zapleczu jest żarówka bez abażuru, półki ze sznurka i szary papier do pakowania, worki do rozwożenia ułożone pod ścianą i mały stolik, na którym Mara położyła pudełko.

— Otworzyć, żeby spojrzeć, to nie podpisać — powiedziała, patrząc na Tonia, tak, jak się podaje parasol: nie dlatego, że pada, ale na wszelki wypadek. — Bez podpisu o świcie wraca.

Tonio skinął głową.

Julita została w drzwiach, jedną nogą po każdej stronie progu.

— Mogę zostać? — zapytała. Zapytała.

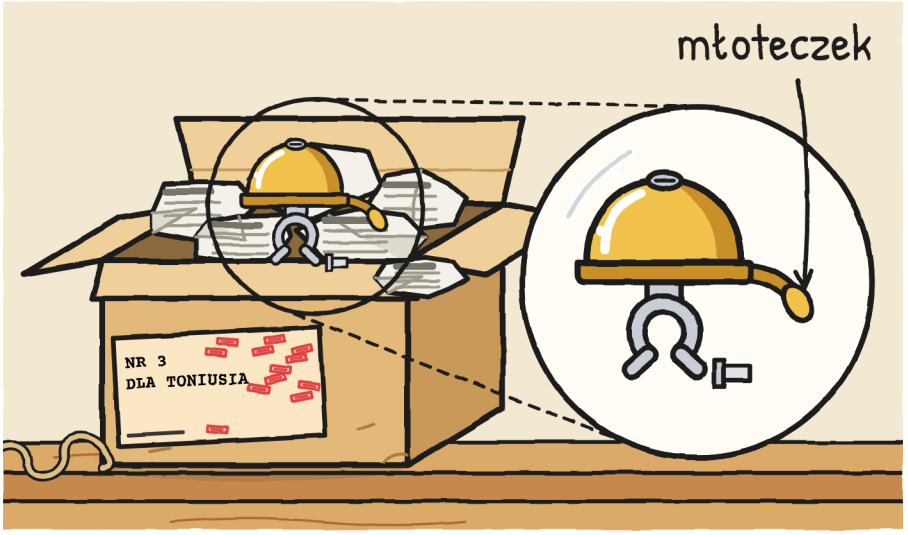
Tonio się wahał. Nie wiem, jak długo: mierzenie czasu to rzecz Julity, a Julita była zajęta.

— Jeśli niczego nie dotkniesz.

— Ani pudełka, ani tematu.

Usiadła na worku w kącie.

Tonio zdjął kask i powiesił go na gwoździu. Bez kasku widać było jego brązowe, przyklepane włosy i uszy, które nie były już tak czerwone jak we wtorek. Potem rozwiązał sznurek, taki do pakowania, który zrobił się koloru papieru. W środku był papier gazetowy, tak stary, że sam się rwał. Tonio rozchylał go koniuszkami palców. A w papierze...



Dzwoneczek rowerowy. Mały, złoty, z młoteczkiem na sprężynie: wystarczy potrząsnąć, żeby zadzwonił.

Paczka nr 1 gryzła. Paczka nr 2 biegała. Paczka nr 3 tylko dzwoni.

Ani smoka, ani łap. Dzwoneczek. Podoba mi się. –J.

Pod spodem była karteczka złożona na czworo. Tonio rozłożył ją na stole. Pismo było ciasne, krzywe, pisane jak w jadącym autobusie. W rogu miała kleks:

„Toniusiu: obiecano, że jeszcze zadzwoni. Już dzwoni. Wybacz spóźnienie. —R.”

I niżej:

„P.S. Może urosłeś. Dzwoneczek nie.”

Tonio przeczytał ją dwa razy.

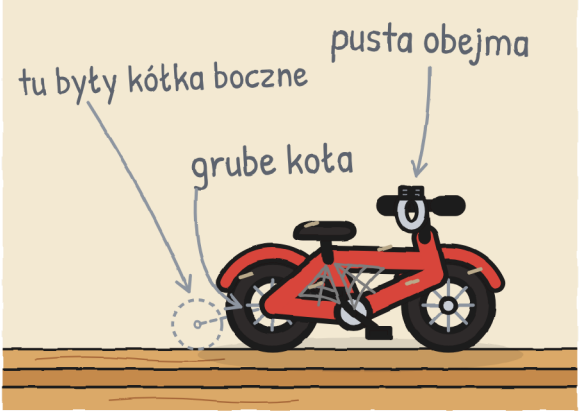
— Co za brzydkie pismo — powiedział.

I nic więcej, przez dłuższą chwilę.

R. dotrzymuje słowa z opóźnieniem. Powiedziała to Flora. Nie powiedziała, O ILE. –J.

Wtedy Tonio odsunął pudełko i postawił mały rower na stole.

Narysowałem ten rower, ze strzałkami.



Grube koła; ślady na tylnym, gdzie były kółka boczne; a na kierownicy pusta obejma ze śrubką.

— Rower był mój — powiedział Tonio. — Miał ten dzwoneczek. Pewnego dnia przestał dzwonić: robił klak. Ktoś mi powiedział: „Daj mi go, Toniusiu, naprawię i oddam".

— Kto? — wyrwało się Julicie i zakryła sobie usta obiema rękami.

— Twarzy nie pamiętam. Pamiętam dzwoneczek. I to, że długo czekałem.

Julita wciąż trzymała obie ręce na ustach.

— W domu wciąż mówią do mnie Toniuś — powiedział Tonio. — W BŁYSKAWICY nie. W BŁYSKAWICY jestem Tonio: sam to wpisałem na kartę pierwszego dnia.

Wyobraziłem go sobie z długopisem BŁYSKAWICY, jak wpisuje TONIO w rubryce z imieniem, bez niczyjej podpowiedzi: jedyne imię w dzielnicy, którego nie nadał mu nikt inny.

— A co jest złego w Toniusiu? — zapytałem. Zapytałem naprawdę, bez żadnego zamiaru. Z pytaniami mam jak z czkawką: wychodzą.

— Nic. Dopóki nie mówi tak Zoe. W BŁYSKAWICY przezwisk się nie zdejmuje. Zobacz Bruna.

— Bruno nazwał mnie Toniusiem sześć razy od wtorku — dodał. — Policzyłem je.

Julita skurczyła się w swoim kącie.

Nikt nie wiedział, jak ciągnąć dalej. Wtedy Julita zapytała:

— Jeszcze się mieścisz?

Nie mogła się powstrzymać.

Mara postawiła rower ze stołu na ziemi, z taką ostrożnością, z jaką się zdejmuje kogoś z wysokiego taboretu. Tonio spojrzał na rower. Spojrzał na Marę. Usiadł.

Mieścił się. Mniej więcej. Kolana sięgały mu do uszu, a łokcie sterczały na boki.

Mara wydała dźwięk, który u kogoś innego byłby śmiechem. Tonio też się roześmiał. Nie widziałem go śmiejącego się od soboty. We wtorek śmiał się Bruno; tym razem on. To brzmi inaczej.

Czerwieniomierz: 0. Zapisuję, bo to też się liczy. —J.

Przyszło mi coś do głowy i musiałem zdecydować, czy powiedzenie tego to pomoc, czy popchnięcie. Przy Toniu, siedzącym tak, skulonym na rowerze, który nie był już jego rozmiaru, różnica wydała mi się wielkości włosa. Powiedziałem to jak informację, nie jak radę.

— Na twoim obecnym rowerze jest już dzwonek — powiedziałem. — Ten z BŁYSKAWICY. Nie musisz zakładać tego. Możesz go schować. Albo pozwolić mu wrócić.

— Wiem — powiedział Tonio.

Ale spojrzał na mnie, jakby nikt mu tego wcześniej nie powiedział.

W kącie Julita podniosła głowę, słysząc mnie. Nic nie powiedziała. Było widać, że to sobie zachowuje.

Przez jedenaście minut milczała, słuchając, ze schowanym flamastrem i rękami w kieszeniach ogrodniczek. O tych jedenastu minutach wiem stąd, że sama zapisała je potem w moim zeszycie.

Jedenaście minut. Zdrętwiał mi język. –J.

— Chcę ją wypróbować sam — powiedział Tonio.

Wyszliśmy we troje. Tonio zamknął drzwi zaplecza.

Julita poszła na drugi koniec sklepu, żeby nie słuchać. Ja, żeby nie słuchać, rysowałem: siedzisko Tonia ma już baldachim. I tak było słychać. Mara porządkowała sznurki, które już były uporządkowane.

Dzyń.

To było to samo dzyń co w sobotę. Potem drugie. A potem żadnego, przez bardzo długo. Żadne z nas trojga nie patrzyło na drzwi.

Gdy wyszedł, miał dzwoneczek w jednej ręce i pudełko pod pachą. Mały rower został na zapleczu, oparty o worki, z pustą obejmą.

— Zabieram ją do jutra. Bez podpisu.

— To o świcie wróci — powiedziała Mara.

— Niech wraca. Chcę wiedzieć, jak to jest mieć ją przez noc.

— A jeśli zostawi dzwoneczek poza pudełkiem? — zapytałem.

— Nigdy tego nie próbowałam — powiedziała Mara. — I nie zamierzam próbować o siódmej rano.

Tonio schował wszystko do środka: dzwoneczek i karteczkę.



W piątek o świcie moja ulica znów zadzwoniła: dzyń, dzyń, dzyń, nad dachami, bez pośpiechu. Zapaliły się te same trzy okna. Zaszczekał ten sam pies. Powrót nr 14.

Tego, co było wcześniej, nie widziałem. Opowiedział mi to Tonio tego popołudnia, ze swojej skrzynki, patrząc w podłogę:

— Tym razem nie spała na wycieraczce. Spała na mojej szafce nocnej. O świcie zaczęła uderzać w szybę, więc otworzyłem jej okno.

— I jak jest? — zapytałem. — Mieć ją przez noc.

Tonio się wahał.

— Długo — powiedział.

Tego popołudnia narysowałem oba rowery Tonia, jeden obok drugiego. Na tym obecnym narysowałem dzwoneczek, który bardzo ładnie wygląda. Pod spodem napisałem „przedtem” i „teraz”.



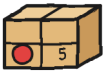
Otworzył okno paczce. Co za uprzejmość. –J.

Julita przykleiła mi na to karteczkę, dokładnie na kierownicy, zakrywając mój świeżo narysowany dzwoneczek:

Jeszcze go nie założył. –J.

Spróbowałem ją odkleić paznokciem, od rogu.

Miała rację. Trochę mnie to irytuje.



ROZDZIAŁ 5

Na osobności

W piątek po południu paczka nr 3 stała na swojej półce, z czternastoma pieczątkami.

Tonio, w swojej skrzynce, patrzył na nią z daleka.

Julita od dwóch dni coś szykowała. Wiedziałem o tym, bo od dwóch dni nie mówiła mi co.

Obawiałem się najgorszego. Ostatnim razem, gdy Julita szykowała coś w tajemnicy, ta tajemnica miała obrus.

Tym razem pierwsze, co sprawdziłem, to czy nie ma obrusa. Ani stołu, ani pulpitu, ani okienka wyciętego nożyczkami: tylko kartka z zeszytu, w linie. Julita położyła ją Toniowi na kolanach, nie mówiąc słowa, i cofnęła się pod ścianę z rękami za plecami, o dwa kroki więcej, niż trzeba. Policzyłem je.

Była to kartka z dwiema opcjami.

Tonio przeczytał ją dwa razy; za drugim razem tylko B. Ja, który wychyliłem się nad jego ramieniem z dyskrecją peryskopu, przeczytałem ją trzy razy, szukając haczyka.



Tonio podniósł oczy i spojrzał na Marę.

— Jeśli podpiszę, kto się dowie?

Powiedział to z uszami na jedynce.

— Ja. I mój rejestr, który nie wychodzi z tej szuflady.

Mara otworzyła szufladę lady tylko tyle, żeby było widać: gruba księga, zamknięta gumką. Zamknęła szufladę biodrem.

— A BŁYSKAWICA?

— Ja nie powiem BŁYSKAWICY. Rejestr to nie tablica.

Julita otworzyła usta i znów je zamknęła. Za plecami Mary, na ścianie, zielona tablica wciąż głosiła ZOSTAŁO 18.

Na tablicy są numery. Imiona zostają w szufladzie. –J.

Tonio wstał ze skrzynki. Skrzynka wydała głuchy odgłos, jaki wydaje skrzynka, która została bez nikogo.

— B.

Julita nie podskoczyła. Widziałem, jak nie podskoczyła.

Zacisnęła pięści tak, że pobielały jej kostki.

— Na zapleczu — ciągnął Tonio. — I chcę, żebyście byli. Wy dwoje.

— Ja też? — zapytała Julita.

— Ty najbardziej chcesz, żebym podpisał. Wolę mieć cię przed oczami.

Mnie przypadło w udziale zdjęcie paczki nr 3 z półki. Wszedłem na niebieski taboret i zdjąłem ją oburącz, nie oddychając, jak się niesie talerz zupy pod sam brzeg. I tak zadzwoniła: małe dzyń, z tych grzecznościowych, które znaczyło „z przeproszeniem".



Wróciliśmy na zaplecze. Tonio zdjął kask i położył go na worku, z paskiem zwisającym.

Postawiłem paczkę nr 3 na stole. Tonio otworzył wieczko i znów wyjął dzwoneczek i karteczkę. Położył je pod żarówką: dzwoneczek, złoty, na boku, z młoteczkiem nieruchomym na

sprężynie; karteczkę, rozłożoną i wygładzoną krawędzią dłoni, z brzydkim pismem R., które w tym świetle wyglądało jak rysunek.

Oglądał je powoli, jak ktoś liczący resztę.

— Zanim podpiszę, patrzę, co podpisuję — powiedział, na nikogo nie patrząc.

Julita zrobiła się koloru swojej koszulki.

Julita podała mu swój zielony flamaster, z nałożoną skuwką. Podała go od tyłu, końcówką do siebie, tak jak się podaje nożyczki. Potem poszła do kąta i usiadła na worku, bardzo prosto, z brodą w górze i dziwnie ułożonymi łokciami.

— Co robisz? — zapytałem.

— Siedzę na rękach. Żeby nie pomagać.

To było dosłowne. Wsunęła je sobie pod uda, jedną z każdej strony, i przyciskała nimi worek. Poruszała ustami; chyba liczyła słonie.

Ćwiczyłem w łóżku, jak ostrzec w porę, gdyby było trzeba. Tego popołudnia nie musiałem nic mówić.

Zamknąłem zeszyt i wsunąłem go pod pachę.

Potem wszystko zapisał. –J.

Tonio zdjął skuwkę z flamastra i się podpisał.

Nie zawahał się, ale to trwało. T, duże. O. N. I, z kropką, którą postawił powoli. O. Pięć liter, wyraźnych i prostych.



W rogu pojawiła się pieczątka, której nikt nie przybił: DORĘCZONO.

Na etykiecie było „Toniuś". Pod podpisem — „Tonio".

— Może być tak? — zapytał Marę. — To nie to samo imię.

Mara przeczytała etykietę od góry do dołu, nie dotykając jej.

— Podpisuje ten, kto odbiera — powiedziała. — A odebrałeś ją ty.

Wróciliśmy do sklepu. Tonio niósł dzwoneczek w jednej ręce i znów miał na głowie kask. Ja wciąż miałem zamknięty zeszyt. Mara zgasiła żarówkę i szła ostatnia.

Otworzyła szufladę, wyjęła księgę z gumką i zapisała dostawę: datę, numer i pięć liter.

Julita trzymała już w ręku niebieski taboret, ten, którego zawsze używa, żeby sięgnąć do tablicy, i szła już w stronę ściany. Stanęła jak wryta. Odstawiła go na podłogę, nogami w dół, bez hałasu.

— Mogę zmienić tablicę? — zapytała.

Zapytała Tonia, nie Mary.

Tonio spojrzał na tablicę. Wahał się, tak, jak się sprawdza adres.

— Jest na niej tylko liczba.

— Tylko.

— Dobrze.

Julita weszła na taboret, skreśliła 18 jednym pociągnięciem i napisała obok ogromne 17, zielonym tuszem, którego nie da się zmazać.

Zapytałam wcześniej. Żeby było jasne. —J.

Tonio wyszedł na chodnik, oparł rower o ścianę i wyjął z plecaka śrubokręt.

— Zamontujesz go? — zapytałem.

— Tak.

— A dzwonek BŁYSKAWICY?

— Tamten jest od BŁYSKAWICY. Ten jest mój. — I dodał, nie podnosząc wzroku: — Przytrzymasz mi rower?

Założył go sam. Ja tylko przytrzymałem rower, i to dlatego, że mnie poprosił. Obejma zacisnęła się wokół kierownicy, obok szarego dzwonka BŁYSKAWICY. Tonio dokręcił śrubkę tak, jak uznał, że wystarczy. Mara patrzyła od drzwi, ze skrzyżowanymi ramionami, co u niej jest sposobem klaskania.

Potem dotknął młoteczka palcem.

Dzyń.

O piątej dziesięć przejechała BŁYSKAWICA. Jechali jedno za drugim: Zoe z przodu, z warkoczem na wietrze; Bruno za nią, z pompką przy ramie; a na końcu luka wielkości Tonia. Bruno zahamował.

— Co to tak dzwoni?

— Dzwoneczek.

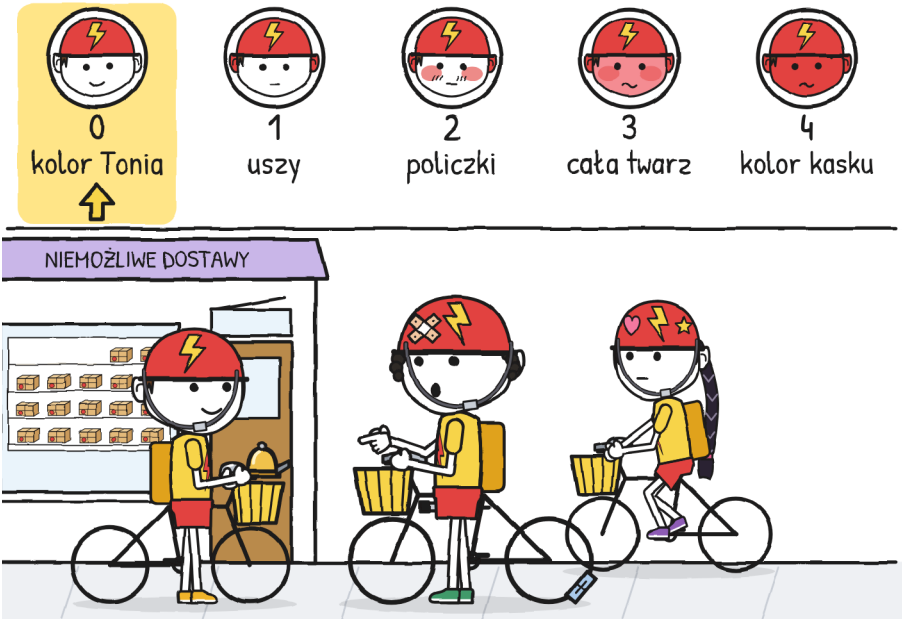
— Skąd go masz?

— Był mój.

— Z czasów, kiedy byłeś Toniusiem?

Spojrzałem na twarz Tonia. Nic. Nawet uszy.

— Z czasów, kiedy tak do mnie mówili. Teraz jestem Tonio. A ty jak masz na imię?



— Gu... — Bruno urwał. — Bruno.

— No właśnie, Bruno.

Bruno podniósł głowę jak ktoś, kto słyszy swoje imię przez megafon. W BŁYSKAWICY od dwóch lat nikt nie nazywał go Brunem.

Zoe otworzyła usta.

We wtorek skreśliła mu „Bruno" i wpisała „Guma".

Tonio dotknął młoteczka. Raz, na nikogo nie patrząc.

Dzyń.

Zoe zamknęła usta. Namyśliła się. Trwało to tyle, ile światło pomarańczowe na skrzyżowaniu.

— Ładnie brzmi — powiedziała. — Spóźniamy się, Tonio.

Powiedziała „Tonio". Bez dodawania czegokolwiek. —J.

Odjechali jedno za drugim, Zoe, Bruno i na końcu Tonio, z kciukiem zawsze blisko młoteczka.



Tej nocy znów zostawiłem roletę podniesioną.

Postawiłem też przed oknem dwa krzesła do pilnowania, moje i maleńkie dla budzika, z tradycji, i położyłem się do łóżka z budzikiem pod pachą. Tej nocy pilnowałem leżąc.

— Znowu pilnujesz? — zapytała mama z korytarza.

— Dziś pilnuję, żeby nic się nie działo.

— W tym jestem bardzo dobra. Śpij.

Wytrzymałem prawie do dwunastej.

Zasnęłam z odkrytym flamastrem. Mam zieloną poduszkę. —J.

Obudziłem się przed budzikiem, z całym ciałem przygotowanym na dzyń.

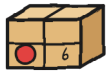
Zaświtało.

Nic nie zadzwoniło.

Ani dzyń, ani okno, ani pies spod czwórki.

To najpiękniejsza cisza, jaką słyszałem na mojej ulicy.





ROZDZIAŁ 6

Na razie

W sobotę o dziesiątej narysowałem regał: siedemnaście paczek i trzy luki.

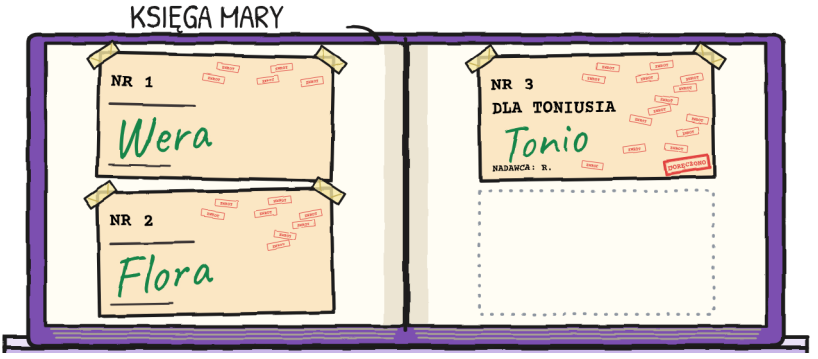
Przeszedłem przez ulicę ubrany, co już jest postępem: pierwszej soboty zrobiłem to w piżamie i kapciach. Zanim wszedłem, spojrzałem na okienko nad drzwiami, to, które Mara zostawia otwarte dla tych, którzy wracają. Wciąż było otwarte. Nikt nie wszedł.

Luki zajęły mi więcej czasu niż paczki. W każdej został czysty prostokąt, z kurzem dookoła. Narysowałem je, nie dociskając ołówka.

Mara tymczasem wyjęła swoją księgę z szuflady i otworzyła ją na ladzie, tyłem do drzwi. Odkleiła etykietę paczki nr 3 i przykleiła ją w księdze, razem z dwiema pozostałymi.

Tonio, który odrabia soboty tak, jak rozwozi — punktualnie i niczego nie zdejmując — patrzył z drugiej strony lady, w kasku. Jego imię, to z podpisu, wędrowało z pudełka do księgi. Spojrzał

na księgę. Spojrzał na drzwi, zamknięte. Znów popatrzył na księgę, trochę dłużej.



Trzydzieści siedem pieczątek, dwadzieścia trzy i czternaście. Trzy podpisy na zielono.

Jajko, nasionka i dzwoneczek. Wszystkie trzy przyszły późno. Wszystkie trzy dotarły.

Trzecią podpisał Tonio. Tym razem ja tylko podałam mu flamaster. –J.

Tonio usiadł w swojej skrzynce i poruszył się. Tym razem nie spojrzał na regał.

— Skrzynka nadal jest „na razie” — powiedziała Mara, nie podnosząc wzroku znad księgi.

— Na razie mi wystarcza — powiedział Tonio.

„Na razie” może trwać latami. Zapytaj paczkę nr 3. –J.

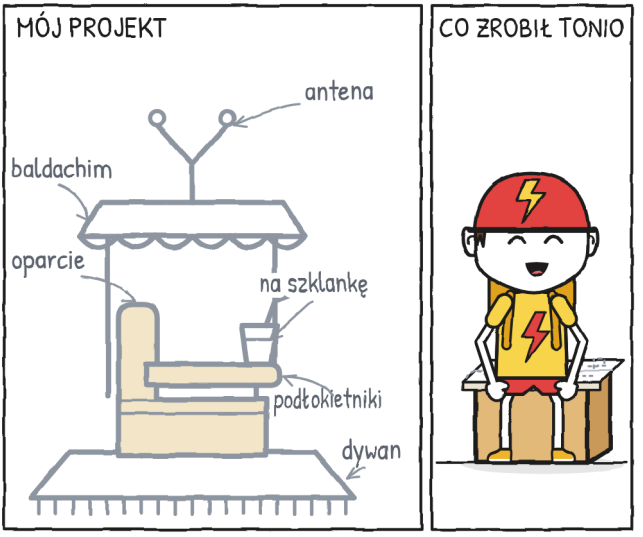
Pokazałem Toniowi mój projekt jego siedziska. Zajął mi cały tydzień.

To była wersja ostateczna, z wymiarami i legendą: skrzynka do rozwożenia zamieniona w tron. Łączył oparcie z nocy burzy; podłokietniki i miejsce na szklankę z wersji 2; baldachim z trójki, z frędzlami, i nowy dywan, też z frędzlami. Antena wyszła mi sama, o dwunastej w nocy; nie wiem, co miała odbierać, i dlatego ją zostawiłem.

Podałem mu go oburącz, jak dyplom. Tonio obejrzał go w całości, z tą samą powagą, z jaką czytał karteczkę R. Ani razu się nie roześmiał. Doceniłem to. Julita spojrzała na niego zza mojego ramienia z miną kogoś, kto rozpoznaje krewnego na fotografii.

— Dasz mi to? — zapytał.

Złożył kartkę na czworo, położył ją na skrzynce i usiadł.



Na dworze dzwoneczek przekrzywił się na kierownicy. Zobaczyliśmy to, wychodząc zaczerpnąć powietrza: opadł pół obrotu na bok, jak głowa, która zasypia w autobusie.

— Przytrzymam ci, jak będziesz dokręcał — powiedziałem.

— Dam radę sam.

Dał radę. A ja patrzyłem na tę śrubę. Wyglądała, jakby miała sto zwojów.

Tonio wystawił koniuszek języka. Julita, obok mnie, miała ręce w kieszeniach ogrodniczek aż po nadgarstki; widać było pięści w środku. Ja nie mam ogrodniczek: złapałem jedną rękę drugą, za plecami.

Kiedy Tonio zrobił ostatni obrót, dzwoneczek stanął, patrząc prosto przed siebie, wyprostowany jak żołnierz.

— Gotowe — powiedział.

Puściłem własną rękę, co jest trudniejsze, niż się wydaje.

Wchodząc, Julita wyjęła spod lady arkusz autografów. Miał dwa podpisy, dziurę, a od rana także łatkę: okienko było zaklejone kawałkiem papieru i taką ilością taśmy, że łatka była najmocniejszym miejscem arkusza.

— To ten od pułapki — powiedziała Marze, zanim ta zdążyła zapytać. — Naprawiłam go.

Potem położyła go przed Toniem.

— Podpiszesz mi autograf? Naprawdę. Bez niczego pod spodem.

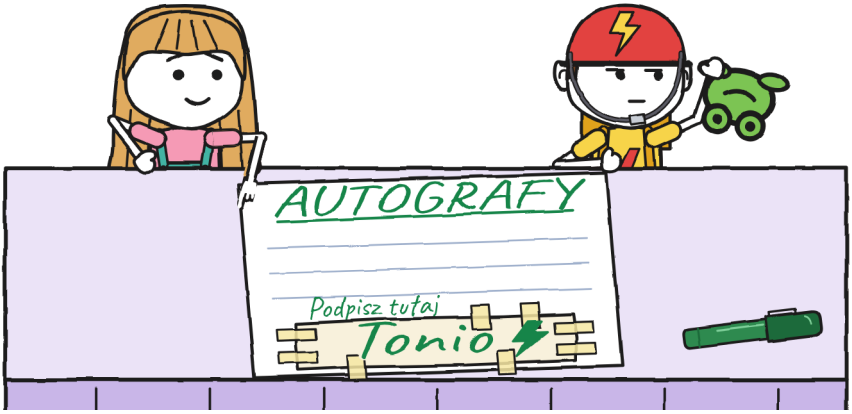
Powiedziała to powoli, tylko raz, i czekała.

Tonio zajrzał pod arkusz. Zajrzał pod ladę. Odwrócił żabę.

Julicie drgnął mięsień twarzy, gdy Tonio podniósł żabę. To był jedyny sprzeciw. Wycofała go sama.

— Dobrze.

Podpisał się na łatce: „Tonio", z błyskawicą zawieszoną na ostatniej literze.



Zasłużyłam. –J.

W południe Tonio wyjechał na dostawę. Widziałem, jak odjeżdża, z drzwi, z dzwoneczkiem mocno na swoim miejscu.

Starszy pan w berecie przechodził powoli przez ulicę, z laską, po przejściu dla pieszych na rogu.

Tonio zahamował. Zaczekał z jedną nogą na ziemi. Potem zadzwonił dzwoneczkiem tylko raz, żeby pan wiedział, że on tam jest.

Dzyń.

Pan podniósł laskę na powitanie i poszedł dalej swoim krokiem.

Mara wyjrzała z drzwi, obok mnie, ze skrzyżowanymi ramionami.

— To pan Antoni — powiedziała. — Toniuś numer dwa z mojej listy.

To był ten od „chciałbym". Doszedł do naszego chodnika i zatrzymał się obok roweru Tonia, który nigdzie nie odjechał: stał tam, z jedną nogą na ziemi i ręką blisko młoteczka, bez pośpiechu.

— Czy ten dzwoneczek jest nowy? — zapytał pan.

— Jest stary — powiedział Tonio. — Był mój. Z czasów, gdy mówili na mnie Toniuś.

— Mnie od sześćdziesięciu lat nikt tak nie nazywa. Jak chcesz, zamienię się z tobą: ty będziesz panem Antonim, ja Toniusiem.

Tonio się zastanowił. Spojrzał na beret, a potem na swoją kierownicę.

— Na razie nie.

Pan Antoni skinął głową i dotknął palcem beretu, jak ktoś, kto zawiera umowę i zostawia ją otwartą.

— No to jestem — powiedział. — Przechodzę powoli.



Tonio wrócił z dostawy w dwanaście minut. Julita je zmierzyła. Zerknęła na zegarek, ale nic nie powiedziała. Tonio usiadł w swojej skrzynce.

Wyjąłem kartę R. To była kartka z portretem, który jest wielkim znakiem zapytania, i R. pod spodem, miała sześć wskazówek. Dopisałem dwie:

- Wskazówka 7. Zna Tonia z czasów, gdy jeździł małym rowerem.
- Wskazówka 8. Obiecano dzwoneczek, który zadzwoni. Trwało to latami.

Tonio poprosił mnie o długopis i napisał pod spodem, swoim pismem. Poza listą, wielkimi literami kuriera, ściśniętymi, takimi, które odbijają się na kartce pod spodem:

DO WYJAŚNIENIA: należy mi się wyjaśnienie.

— I nie podziękujesz? — zapytała Julita. Zapytała powoli, jak ktoś, kto niesie pełną filiżankę.

— Podziękuję i się poskarżę. Jedno i drugie. Jak dowiem się komu.

O pierwszej weszła Wera, z Kruszynką na rękach i gałązką we włosach.

— Przychodzę prosić o pomoc. Kruszynka już umie startować. Teraz potrzebuje bezpiecznego miejsca do lądowania. — Zrobiła pauzę. — Wczoraj wybrała moją zupę.

Wyprostowałem się na taborecie od pierwszego słowa. Kruszynka miała makaron zwisający z rogu. Spojrzała na mnie i zrobiła moją minę „to nie ja".

Twoja, dokładnie. Z makaronem. –J.

— Potrzebujesz kogoś szybkiego? — zapytał Tonio ze swojej skrzynki.

Kruszynka wychyliła się z ramion Wery i obwąchała jego kask.

— Potrzebuję kogoś, kto umie czekać — powiedziała Wera.

— Też umiem. Od tego tygodnia.

Za nim Julita podniosła obie ręce, jak ktoś, kto się poddaje w bardzo grzecznym napadzie.

Ja też umiem czekać. Już? –J.

Kiedy czegoś nie rozumiem, robię listę. Tym razem rozumiałem i lista i tak powstała: ostatnia strona tego zeszytu, tabela dostawy.

DOSTAWA NR 3. Ile czasu potrzebował każdy:

- BŁYSKAWICA: dziesięć minut.
- R.: lata.
- Tonio: sześć dni.
- Julita, słuchając: jedenaście minut (rekord).

Tonio wstał ze skrzynki, poprawił kask i palcem sprawdził, czy dzwoneczek wciąż stoi prosto. Stał.

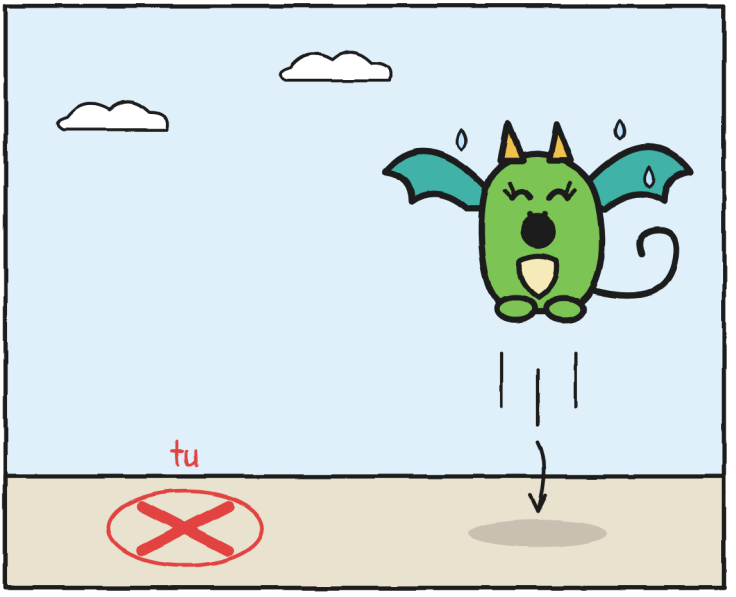
Pojechał na swoją dostawę. Z ulicy dobiegło dzyń. I jeszcze jedno.

Tym razem dzwoneczkiem dzwonił on.

Ja wciąż dzwonię sama. Pracuję nad tym. –J.

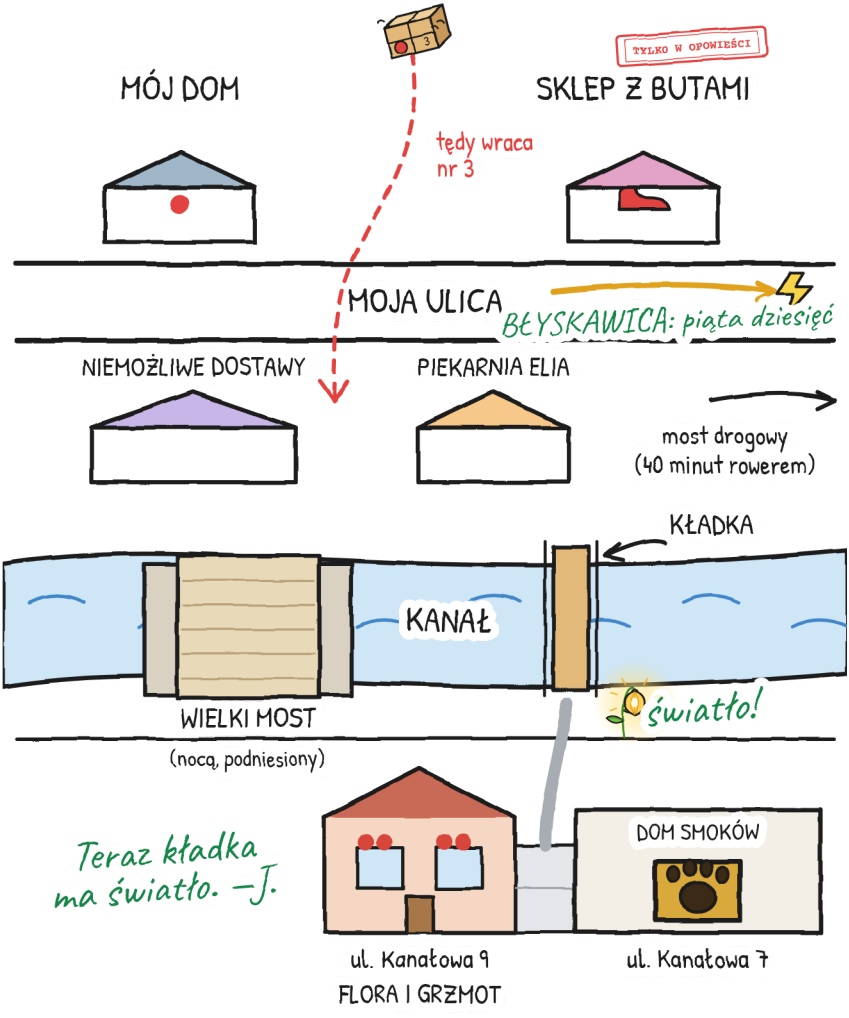
NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 4

(już niedługo)



Gdzie ląduje smoczątko, które cię naśladuje? –J.

DZIELNICA (wersja 3)



A TY, JAK MASZ NA IMIĘ?

Tonia nazywali Toniusiem. Teraz sam wybiera, jak się nazywa. A ty?

Lubię, jak mnie nazywają...

Mogą mnie też nazywać...

Wolę, żeby mnie nie nazywano...

Ja jestem Julita. „J." tylko wtedy, gdy się podpisuję. –J.

JEDNA HISTORIA, SZEŚĆ ROZMIARÓW

Ta książka istnieje w sześciu rozmiarach, dla dzieci od 3 do 16 lat, i w ponad 20 językach. XXS, XS, S, M i L opowiadają historię strona po stronie, na tych samych rysunkach i z coraz większą liczbą niuansów. XL to powieść: ta sama historia, z miejscem na wszystko, co Guni myśli, ale czego nie mówi.

Poziomy według ESOKJ są orientacyjne: XXS, pre-A1 · XS, A1 · S, A2 · M, B1 · L, B2 · XL, B2–C1.

Każdy w swoim rozmiarze. Ten sam dzyń. —J.

DLA RODZIN I NAUCZYCIELI

Pracuj nad każdym rozdziałem na linguaula.com (z ćwiczeniami z rozmiaru L)

PRAWDZIWY ROWER: CO ROBIĆ

1. Zawsze kask, dobrze zapięty. Także gdy jedziesz „tylko tu obok”.
2. Bądź widoczny i słyszalny: światła, jasne ubranie i dzwonek. Dzwonek ostrzega; nie rozkazuje.
3. Obie ręce na kierownicy. Jeśli coś cię rozproszy, zatrzymaj się w bezpiecznym miejscu.
4. Chodnik należy do pieszych: tam prowadź rower. Przed przejściem przez jezdnię zatrzymaj się i rozejrzyj.

Pieczątka TYLKO W OPOWIEŚCI oznacza to, co dzieje się w opowieści, a na ulicy nie.

PRZED WYJAZDEM SPRAWDŹ SWÓJ ROWER

